

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 71.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 20 stycznia 1861.
1 lutego
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Eustachy Wołłowicz (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Pamiętki malownicze po rodzinie Słowackich (z czterema drzeworytami).—Kościół filialny w Rypniku pod Kaliszem i figura za Rypnikiem na gruncie Zagórzyńska pod Kaliszem (z dwoma drzeworytami).—Nigdy (dalszy ciąg).—Sprzostowanie.—Kaptica w Jaworzynie (z drzeworytem). Szachy i rebus.

Eustachy Wołłowicz, BISKUP WILEŃSKI.

Wołłowicz, jeden z największych biskupów Litwy, urodził się w r. 1572 z ojca Iwana, marszałka litewskiego, który był starostą grodzieńskim, i Anny Kopciówny. Marszałek wówczas na Litwie nie znaczył tego co później; nie był jeszcze ani ministrem, ani urzędnikiem przywiązany do jakiejś ziemi lub powiatu; marszałków w ogóle dosyć razem bywało przed unią lubelską na Litwie; nazywano ich hospodarskimi lub ziemskimi, a król ich zwykle używał do różnych obowiązków. Marszałkowie często dowodzili na wojnach i zdaje się nawet, że w czasie przed rokiem 1569 piastowali głównie urząd hetmański. Dwóch miał Eustachy braci rodzonych: Jędrzej był ciwnunem derwiańskim i sędzią ziemskim żmujdzkim, drugi Paweł, podkomorzym grodzieńskim. Był i trzeci brat, najstarszy, z pierwszego małżeństwa ojca, Jarosz, podskarbi ziemski litewski, w końcu starosta żmujdzki. Dwie siostry także były jedna za Rudominą, druga za Lewickim z Lewiczyna, chorążym podlaskim. Marszałek Iwan, ojciec tych dzieci, jak to z imienia samego widać, był jeszcze Litwinem z Rusi, chociaż naturalnie mocno spolszczonym; narodowość litewska jeszcze go charakteryzowała, jak wszystkich starych Wołowiczów, co się jeszcze sprzeciwiali unii lubelskiej, chociaż mówili i pisali po polsku.

Eustachy miał się kształcić w akademiach włoskich i niemieckich, że zaś myślał się poświęcić stanowi duchownemu, więc zapatrując się na księcia kardynała Jerzego Radziwiłła, brał podobno od niego wzór łagodnego obejścia się z każdym. Potem dostał się już na dwór Zygmunta III i tam znalazł pierwsze początki szczęścia, które zawiodło go bardzo daleko, bo wyniosło aż na stopnie znakomitych dostojności. „Jam z domu Wołowiczowskiego pierwszy kapłan,” powiadał w latach dojrzałych. I zalecał się dobrze, był urody poczesnej, miał już w młodych latach dar przekonywającej wymowy.

Jeszcze był dzieckiem, kiedy dostał probostwo odelskie na Litwie i zaraz potem kanonią wileńską, po śmierci księdza Mikołaja Niemczynowicza w r. 1592. Pojechał do Rzymu i tam podobno posłano mu prezentę na prelaturę kantoryą w kapitule wileńskiej, po księdzu Szymonie Brzezińskim. Ksiądz Osiniński w Ży-

wotach biskupów wileńskich powiada (Tom I strona 256), że po Wołowiczu wziął kanonią Ingoila Szwed. Jest tu jakaś pomyłka, bo czytaliśmy urzędowy dowód, jako ksiądz Jan Jaszwił, kapelan królewski (sacellanus), otrzymał kanonią wileńską po Wołowiczu, i dlatego że będąc na dworze, nie mógł się zaraz sam wybrać do Wilna, stanowiąc w konsystorzu warszawskim pełnomocnika, żeby w imieniu jego objął tę duchowną posadę; pełnomocnikiem tym zaś był Jan Feulin Szwed, już poprzednio kanonik wileński (Akta, ks. 9 fol. 108, pod d. 10 stycznia 1597). Pomieszane więc tutaj nazwiska i okoliczności. Wróciwszy z Rzy-



EUSTACHY WOŁŁOWICZ. (Rysował na drzewie Tegazo).

mu kantorem katedralnym, został niedługo Wołłowicz jeszcze pisarzem w lit. Potomek wielkiej rodziny albowiem, dla samego nazwiska musiał wziąć dygnitarstwo, którego był bliższym od wielu starych i zastużonych. Taki był zwyczaj patryarchalnej Litwy.

Wtedy to przypada podróż jego z królem Zygmuntem za morze do Szwecji w r. 1598. Po śmierci króla Jana, Zygmunt jechał obejmować osobiście tron przed-

ków. Kiedy orszak królewski powracał już po koronacji w Upsalu do Krakowa, okręty rozbiły się na morzu blisko Gdańska. Król najprzód oczywiście wysiadł na brzeg i zabłądził do Oliwy. Ksiądz Eustachy zaś przechadzał się właśnie na pokładzie okrętu którym płynął, kiedy nagle spostrzegł światło na innym statku, na którym były konie królewskie i orszaku. Pobiegł copędzej dowiedzieć się co się to stało i zobaczył, że nieostrożny masztalierz przylepił świecę na środku beczki napelnionej prochem. Przeleknięty i drżący, polecił się Bogu i zdjął świecę, która się już dopalala, ale zląkł za to burmistrza gdańskiego, że nie daje miasto wygody służbie pańskiej. Spokojnie odparł na to burmistrz: „Nie wiem czyby gdzieindziej można było umieścić świecę lepiej i bezpieczniej.”

Tak przytomność umysłu Wołowicza ocaliła to co się jeszcze nie rozbiło na morzu.

Tylko co powrócił do Polski, aż król spotkał swojego towarzysza podróży referendarstwem litewskim, po śmierci ks. Mikołaja Korzyńcy, w r. 1598. Nareszcie w r. 1601 bierze Wołłowicz aż dwa razem wakanse po Benedykcie Wojnie, który się wtenczas przesiadł na długo osierocone biskupstwo wileńskie, to jest bierze po nim probostwo trockie i zasiada w kapitule wileńskiej jako kustosz. Obiedwie te posady duchowne brał za poparciem, które mu dał u króla książę Mikołaj Radziwiłł Sierotka, brat kardynała biskupa krakowskiego, ów sławny przed laty kilką pielgrzym do Ziemi Świętej. Na kustodyą wileńską wprowadzony był uroczystie Wołłowicz 5 grudnia 1600 r. W dni kilka potem obrany z kapituły posłem na sejm warszawski i wyznaczony był na nim do trybunału skarbowego w Litwie.

Oczywiście zarzucony dobrodziejstwami króla, złożył Wołłowicz probostwo odelskie, tém bardziej, że nie mógł trzymać według prawa kościelnego tyle na raz posad duchownych. Ale przełożył za to biskupowi Wojnie, że wikaryusze katedralni wileńscy, nie mając stołu wspólnego, muszą go szukać po różnych miejscach, co nietylko że ubliża ich stanowi duchownemu, ale i cierpią na tém ich obowiązki kościelne. Ksiądz Eustachy biskupowi zarazem wskazywał sposób, w jaki łatwo jest zapobiedz tym niedogodnościom. Dowodził, że parafią odelską wcieliwszy do funduszu kapituły wileńskiej, wraz z dwoma kościołami do niej należącymi, to jest kryńskim i kuźnickim, można będzie postanowić, żeby z niej było opatrzenie dla wikaryuszów. Biskup usłuchał i odniósł się z tym wnioskiem z prośbą do króla. Król pobożny przystał na przedstawienie biskupa i parafią odelską wcielił do katedry wileńskiej na sejmie warszawskim, przez konstytucyą zapadłą na dniu 12 marca 1601 roku. Tak więc Eustachy Wołłowicz był

ostatnim proboszczem odelskim na Litwie. Miał z tego probostwa do 400 czerwonych złotych dochodu (ks. Osiniński: Żywoty biskupów wileńskich T. I str. 22).

Dziedziczną chorobą Wołowiczów była podagra. Przeląkszy się tej niemocy, która już i jemu zaczęła dokuczać, zwłaszcza że zapadał także na zapalenie gardła, wybrał się ksiądz Eustachy w podróż po Europie i pojechał najprzód w r. 1604 do wód pfeferskich, które leżały na granicach Szwajcaryi, o sześć dni jazdy od Augsburga. Wody te znajdowały się wśród cienistych i straszliwych skał, które się wydawały jak przedsienie piekła. Lato przesiedział Wołowicz u wód, potem na krótko wybiegł do Włoch, żeby w Padwie poradzić się lekarzy, miał przytęm zwidzié Loretto i Rzym, a na sejm powrócić do Warszawy. Czy zwidził te wszystkie miejsca, jak zamierzał, trudno wiedzieć, ale to pewna, że powrócił w sam prawie przeddzień wielkich rozruchów, to jest przed wybuchem rokосу zbrzydowskiego.

W tych zawiąskaniach rzeczypospolitej, które się zaczynały, wziął Wołowicz stronę Zygmunta III. Król wyprawił go kilka razy w poselstwie do rokoszaków. Raz jeździł do nich ksiądz referendarz, kiedy stali pod Janowcem, w październiku r. 1606, drugi raz pod Jędrzejów jeździł razem z księciem Jerzym Zbarańskim w kwietniu 1607. Zawsze „siła pracował, żeby był rozdrażnione serce do króla Zygmunta nakłonił, mówi o nim Niesiecki, luboć skutku nie wzięły zabiegi i refleksje godne uwagi.“

Zdolności dyplomatycznych Wołowicza zażywał król Zygmunta i zagranicą. Posyłał go albowiem do księcia florenckiego i do Pawła V papieża. „Znalazł się wszędzie z wielkim rozsądkiem swego zaleceniem, ale i obyczajów skromnych niemal pochwałą,“ mówi Niesiecki, który dalej w takie się jeszcze o nim rozpisuje pochwałami: „A najprzód, powiada, zdał się samą tchnąć niewinnością, jakoż że jęj z dzieciństwa wziętej, aż do zgonu życia zachował, lubo przy dworskich przewleczonych i ślizkich okazjach, po śmierci jego zeznał świętobliwy spowiednik. Nadto naturalną wymowę dał mu Pan Bóg przedziwną, do której że się była przywiązała przyjemność w konwersacyi, zdał się ludzkie afekta kępować i zniewalać do siebie. Czyniła mu też u wszystkich estymacyą, nietylko miłość, którą świadczył ludziom uczonym i mądrym, ale też pobożność.“ Póty Niesiecki.

Wziął w dalszych zasługach opactwo lubieńskie w Wielkopolsce, a po śmierci Gabryela Wojny, który był bratem rodzonym biskupa wileńskiego Benedykta, został podkanclerzem litewskim. Wojna umarł w sam dzień 1 stycznia 1615 r. i musiał zaraz król Wołowicza na ministerstwo pieczęci mianować, skoro oddał kapituła wileńska ciągle go zażywa podkanclerzem.

Na początku roku umarł jeden brat, na końcu drugi, biskup Benedykt. Zebrali się kanonicy wileńscy na posiedzenie nadzwyczajne, żeby obrać administratora, to jest rządzącego biskupstwa na cały czas osierocenia stolicy. Oczywiście nikt dostojniejszym nie był na administratora od Wołowicza. I wiek dojrzały, bo miał podkanclerzy już wtedy lat 43, i dostojność wysoka w kapitule którą piastował, zasługi w niej położone od lat 23 i wreszcie urząd ministerjalny i stosunki z królem wskazywały na Wołowicza. Obrany więc został jednomyślnie 3 grudnia 1615 r. Ale kapituła jednocześnie zwróciła na to uwagę, że podkanclerzego chwile są drogą, że praca przy królu ważniejsza jak zarząd biskupstwem i dlatego postanowiła zadosyć uczynić i powinności swęj względem Wołowicza, i względem kraju. Nadała więc podkanclerzemu prawo obrania sobie zastępcy do urzędu administratorskiego, na przypadek gdyby, dla ważnych zatrudnień jakich, nie mógł sam przez się zarządzać biskupstwem. Postępowanie to kapituły było zatem więcej holdem, jaki składała publicznie dla podkanclerzego; kapituła dawała mu nowe stanowisko, moc i władzę w obszernem biskupstwie, to prawda, ale bez żadnych innych widoków, tylko dlatego, że wypadło tak, zresztą powierzała się mu zupełnie, skoro pozwalała rządzić przez zastępców. Wołowicza nie było podczas tego obioru w Wilnie; kiedy mu doniesiono o wszystkiem, zarząd przyjął, ale został, jak przewidywano, przy królu w Warszawie. Na początek wybrał księdza Mikołaja Iszore, proboszcza osmiańskiego, żeby sprawował w Wilnie w jego imieniu rządy duchowne aż do tego czasu przynajmniej, kiedy coś pewnego w tym względzie postanowi. Iszore dodała kapituła trzech radców; pomiędzy nimi był ks. Stanisław Kiszka, scholastyk wileński, który po Wołowiczu wziął referendarstwo litewskie.

Wołowicz, przyjąwszy rządy biskupstwa, pisał o tém list do kapituły, który odczytano na posiedzeniu 3 lutego 1616 r. Ale gdy nie mógł piérwój stawić się w Wilnie, bo pieczęć mu tego nie dozwalała, urządził sobie wkrótce stałe zastępstwo. W rzeczach świe-

ckich rządząc biskupstwa był ks. Iszora, w rzeczach duchownych ks. Marcin Żagiel, obydwoj kanonicy wileńscy.

Nie ulega więc żadnej wątpliwości samo podkanclerstwo Wołowicza. Dotąd głucho o niem było. Nawet Niesiecki, tak pilny i skrzętny badacz, nie wiedział o tém, że ks. Wołowicz trzymał czas jakiś pieczęć; dlatego nie położył go wcale w swym spisie podkanclerzych litewskich, a w samej Koronie napisał tylko o nim, że był pisarzem wielkim i referendarzem. U Niesieckiego, po Gabryelu Wojnie, idzie prosto na podkanclerstwo Hieronim Wołowicz, brat starszy Eustachego, ale dopiero w r. 1618. Takim sposobem wakowałaby mniejsza pieczęć na Litwie przez trzy lata; sam Niesiecki to widzi, ale jest sobie spokojny i nie objaśnia powodu: niewiadomo dlaczego się to dzieje. Co innego jest przecie wakans białawy, a co innego pieczęć; hetmaństwa Zygmunta III często nie obsadzał, ale cóżby to było, gdyby nie mianował ministra pieczęci? Niesiecki winien był na to zwrócić uwagę, że podkanclerstwo tak długo wakować nie mogło. Teraz dopiero dowiadujemy się z innych społecznych źródeł, że te trzy lata (1616-1618) przy urzędzie ministerjalnym zajmuje Eustachy.

Nie było jednak do smaku pobożnemu męzowi zajmować się sprawami tego świata. Są ślady, że podkanclerstwo przyjął więcej z konieczności, dla zachowania łaski pańskiej, jak z ambicyi. Charakterowi Wołowicza daleko więcej odpowiadało biskupstwo, pieczęć pasterska spokojna a troskliwa nad zbawieniem bliźnich. Po śmierci Benedykta Wojny, najstosowniejsze dla niej otwierało się pole, to jest prawdziwy zawód poświęcenia się i pracy apostołskiej. Król tak samo widać myślał, jak kapituła wileńska, bo oddał Wołowiczowi zaraz osieroczone biskupstwo. Ksiądz podkanclerzy wysłał tedy do Wilna z pełnomocnictwami Jędrzeja Szodrskiego, kanonika gnieźnieńskiego i poznańskiego. Ważne było ztąd posiedzenie kapituły z d. 9 marca 1616. Grono katedralne przychyliło się do życzeń królewskich i obrało biskupem Wołowicza. Szodrski więc natychmiast złożył w imieniu podkanclerzego rządu biskupstwa w ręce kapituły, która oddała je ks. Iszore i przydała mu narodowym obyczajem trzech członków do pomocy. Zaczęł Paweł V papież ogłosił Wołowicza w Rzymie biskupem 15 czerwca.

Nie obejmował sam zrazu władzy swojej Wołowicz, ale przysłał do Wilna ks. Stan. Krzyckiego, proboszcza grodzieńskiego, który był także kanonikiem wileńskim, ażeby w jego imieniu wziął biskupstwo. Na posiedzeniu kapituły, 26 września, Grzegorz Święcicki archidyakon wileński wprowadził Krzyckiego według zwykłych obrządków na biskupstwo. W miesiąc zjechał sam nominat i kłęcząc przed wielkim ołtarzem, wykonał przysięgę na urząd pasterski. Witął go od akademii wileńskiej Piotr Wojna (Auspiciatissimus Eustachii Wołowicz, Episcopi Vlnensis Enthronismus, Vilnae 1606, in typographia Acad. S. J. w 4ce).

Podkanclerstwo litewskie złożył Wołowicz dopiero w r. 1618. Odstąpił biskupem w całym znaczeniu tego wyrazu. Postarał się najprzód o to, że król potwierdził przywileje nadane katedrze wileńskiej od Witolda i Zygmunta I (6 marca 1618), gdy spaliły się przed kilku laty w czasie wielkiego pożaru, czasu wojny smoleńskiej. Wyrobił dalej u króla fundusz na wystawienie nowych organów i na pokrycie blachą dachu kościoła katedralnego. Sprowadził do Wilna benedyktyńki, augustyanów, (tych r. 1634, jak mówi Siarczyński), karmelitów bosych i bractwo tak nazwanej kompanii Jezusowej. Do katedry sprowadził relikwie św. Benona i Eustachego. Wystawił przy niej kaplicę Wołowiczowską, a raczej przebudował królewską (Kraszewski, Wilno T. 2 str. 219. Wizerunki wileńskie, tom. 58—59 str. 280 i 406) (1623 do 1631), którą w dochód opatrzył i probostwo przy niej ustanowił. Kościół trocki Matki Boskiej przystroił w ołtarze i porządek, a inne, osobliwie św. Szczepana w Wilnie, wystawił z gruntu. Złożył też szpital na księży schorzałych i uboższych w Wilnie i w tym celu od kapituły kupił dwa place i wymurował kamienicę ze składek, do których powołał całe duchowieństwo swojego biskupstwa w r. 1625. Innym szpitalem znakomicie przyczynił dochodów. Święcił sam wiele kościołów w biskupstwie. Zapobiegając sporom zachodzącym pomiędzy wikaryuszami i altarystami, z powodu miejsc w processjach, przepisał im porządek taki, jaki był w kościele katedralnym krakowskim i oznaczył strój obrzędowy (Akta kapituły wileńskiej z dnia 16 maja 1628 i 14 maja 1631, Wizerunki wileńskie T. 58 str. 401).

Wielce były przykładne i sprawiedliwe jego rządy. Uśmierzał spory, nakłaniał zajętrzone serca do zgody; nie przesładował dyssydentów, wszędzie bronił praw swojego kościoła i duchowieństwa; ztąd kilkanaście kościołów wyrwał z rąk różnowierców, a naj-

więcej przyszło mu ztąd chluby, że odzyskał kościół kiejdański. Za niego jeszcze ksiądz Aleksander Kolecki ustanowił nową prelaturę wileńską, to jest kanclerstwo, o co jednak wielkie zająście miała kapituła z biskupem. Wołowicz także wyrobił u króla fundacyą archidyakonii białoruskiej, z której później sufragania powstała (1623).

Sam biskup był wzorem dla podwładnych. Mszy nigdy nie opuścił, i nie słuchał jej, jak to robili inni biskupi, ale sam ją zawsze odprawiał; bywało nieraz tak, że w chorobie omdlałego na siłach odwracano przy ołtarzu, bo sam nie mógł błogostawić ludu. Co czwartek biczował się łańcuszkiem żelaznym. Nie przepuścił nigdy okoliczności, żeby nie miał umywać nóg ubóstwu w wielki czwartek. Ztąd mówiono o nim „sam biskup wileński kapłan.“ A Wołowicz wtedy powtarzał te słowa Chrystusa: „Błogosławieni miłośnierni, bo dostąpią miłosierdzia.“ I ztąd był na wszystkich ubogich i klasztorzy zakonne „pansko dobroczynny,“ jak mówi o nim Niesiecki.

Zapewne dzisiaj nie pochwalimy tego ascetyzmu, którego tyle dowodów dał Eustachy Wołowicz. Ale trzeba biskupa naszego wziąć w ramach czasu; to co nas gorszy, było zbudowaniem dla starych pokoleń. Można dziwić się biczowaniu, ale trudno odmówić przytęm zasługi wielkim cnotom biskupim pobożnego pasterza. Świętobliwość jego poszła w przysłowie na Litwie; miłość obowiązków i bliźnich była wielka. Powiadają że w pałacu jego nad stołem miał być ten napis: „Properandum est vivere, et singuli dies, singulae vitae putandae, to jest: spieszymy się żyć, a każdy dzień za osobny żywot poczytujemy.“

W r. 1626 złożył synod biskupstwa wileńskiego 18 czerwca. W roku zaś 1628 wysłał na synod prowincjonalny do Piotrkowa ks. Jerzego Tyszkiewicza, sufragana biskupa metońskiego.

Pomimo biskupiego urzędu, w niczem Wołowicz nie ubliżał innym obowiązkom, a mianowicie senatorskim. Wyjeżdżając do opactwa lubieńskiego i na sejm warszawski w r. 1618, postanowił dwóch zastępców swoich, jednego do spraw duchownych, drugiego do świeckich. W Lubieniu napisał ustawy dla benedyktyńców, których się długo trzymali, i wybudował dla nich tamże dom sypialny z dwudziestu mieszkań (dormitarz). Był wielkim dobroczyńcą zakonu, ztąd w Lubieniu wizerunek Wołowicza chowano ze czcią w refektarzu.

Kiedy szło o sprawę kraju, biskup w oczy mówił prawdę śmiało, nawet królowi. Raz z konwokacyi litewskiej pojechał do pana z Januszem Tyszkiewiczem w r. 1625, upraszać o dalszą kommissyą ze Szwedami. Wymawiali obadwoj królowi, że rok spełzł, a nie nie zrobiono względem zgody z tém mocarstwem, i narazili się tak hardzo, że Tyszkiewicz musiał aż tłumaczyć się przed nim na piśmie (w kwietniu 1625. Biblioteka starożytna pisarzy polskich, Wójcickiego, T. V str. 28—29).

W r. 1625 na sejmie wyznaczony, wraz z wojewodą lubelskim i kasztelanami smoleńskim i nakiełskim, na piérwsze pół roku do boku królewskiego. (Vol. legum T. III str. 491).

W literaturze wiele o nim pamiątek. Jeszcze w r. 1604 w Poznaniu wychodziły wiersze na jego pochwałę po łacinie; pisali je Wład. Wojna, Mik. Zawisza i Kazimirz Idzi Ostouch (ksiądz Osiniński, Żywoty biskupów wileńskich, T. I str. 289). W r. 1604 Maciej Rader jezuita przypisał mu dzieło łacińskie o stanie umierających (Joher, Obraz bibl. hist. T. 3 str. 74). W r. 1624 kazał wydać drukiem biskup pismo tłumaczone na łacinę z włoskiego, dla użytku duchowieństwa litewskiego i żmudzkiego: O sposobie pobożnego odprawiania mszy świętej (tamże str. 87). Ksiądz Birkowski z Warszawy 14 października 1628 przypisał mu swoich kazań czworo. Same kazania wyszły w Krakowie r. 1629 (tamże T. II str. 412). Nareszcie pod zaszczytem biskupa wyszły w roku 1629: „Punkty kazań od adwentu aż do postu, litewskim językiem, z wytłumaczeniem na polskie, przez ks. Konstantego Szyrwida, teologa S. J. w Wilnie (tamże T. II str. 397). W r. 1626 w czasie synodu wileńskiego, Wojciech Stan. Brzeski, uczeń teologii w akademii wileńskiej, mistrz nauk wyzwoleńskich i filozofii, bronił publicznie rozprawy teologicznej i przypisał ją kilku duchownym dostojnikom wileńskim, na których czele postawił Wołowicza, jako kanclerza akademii (ksiądz Osiniński w Żywotach T. str. 264). Za jego to zachętą Łukasz Górnicki, kanonik wileński i warmiński, przełożył na polskie Paraneis Jana Barklajusza, to jest napomnienia dla nowowierców, które wyszły w Krakowie r. 1628. Nakładem swoim drukował biskup kazania ks. Mateusza Bembusa, miane na pogrzebie Jędrzeja Boboli, podkomorzego koronnego i t. d.

Biskup umierał z pracy i z chorób. Stracił jednego

swojego spowiednika, ks. Sebastjana Romana, w rok potem umarł mu drugi, ks. Nowak. Gdy mu doniesiono o tej drugiej już stracie, głęboko westchnął i powiedział: „Już mnie dwóch spowiedników uprzedziło, ja prędko za nimi pokwapie.“

Było to na trzy tygodnie przed jego śmiercią.

Upłynęło dni kilkanaście, kazał się biskup wynieść na zamek, a wejrząwszy na niebo, serdecznie westchnął i rzekł do służby: „Dziatki moje, tam nasi ojcowie, dziadowie, panowie, towarzysze i wielcy przyjaciele i mnie niedługo czekają, tam być potrzeba.“

Miał ciągle to przecucie śmierci i coraz goręcej się modlił. W jeden niemal tydzień aż cztery razy opatrzył się św. Sakramentami na drogę wieczności, to jest na Boże Narodzenie, na św. Jan, na Nowy Rok i na trzy Króle.

We dwa dni po Trzech Królach, powtarzając słowa Dawida: „w Tobie Panie zaufałem, niech nie będę pohaubiony na wieki,“ umarł dnia 9 stycznia 1630. Żył lat 58. Biskupem był przez lat 44. Piasecki, opisując tę bogobojną śmierć jego, powiada: „Lithuanici nominis singulare decus“ to jest: zagasło światło szczególne Litwy. Powtarza też samo rękopis wydany przez Wojcieckiego, do historyi panowania Wazów, który, jak wiadomo, jest tłumaczeniem Piaseckiego i Kochowskiego. Mowę na jego pogrzebie mieli książę Krzysztof Radziwiłł, hetman polny lit. i Stefan Pac, podkanclerzy; obiedwie są w Swadzie Danejkowicza (T. VI str. 29). Cześć wysoką budził biskup, kiedy chwalił go mową swoją książę hetman, jeden z najczciwszych, jak wiadomo, ówczesnych dysydydentów polskich.

W dziejach kapituły wymowna jest wzmianka o tej stracie, jaką poniosły naraz Rzeczpospolita, zakony, ubodzy, stany Litwy i samo miasto Wilno. Powiedziano tam albowiem, że na to się Eustachy Wołłowicz urodził, żeby drugich uszczęśliwił, że żył na biskupstwie jakoby jutro miał umierać, a budował jakby miał żyć wiecznie. Ztąd pamięć jego miała się przechowywać nadal w wiecznym błogosławieństwie wśród pokoleń litewskich (ks. Osieński).

Umarł podobno w Werkach, takby wnosić należało ztąd, że kapituła zaraz dnia śmierci poleciła ks. Białozorowi, proboszczowi katedralnemu, i trzem kanonikom, aby zwłoki biskupa według dostojności kazali ubrać i na miejsce stosowne do czasu przenieśli, a potem żeby spisali wszelkie pozostałości jego w Werkach. Dnia 12 stycznia Wład. Kierdej, krewny biskupa, zgłosił się do kapituły z prośbą, aby wyszukała testamentu; pokazało się że go nie było, znajdowano tylko po kartkach zapisy ostatecznej woli biskupa i wykryło się wtedy mnóstwo długów. Był to cały majątek Eustachego Wołłowicza. Bracia biskupa, Hieronim i Paweł, spłacili wszystkie długi i oddali w ofierze kościołowi katedralnemu wszystkie naczynia srebrne, siedm kobierców i dwa wielkie obrazy: Wierzy Pańskiej i Zmartwychwstania Pańskiego.

Pogrzeb odbył się 7 lutego 1630 r. w katedrze wileńskiej. Miał na nim mowę sławny owego wieku kaznodzieja, jezuita Jakub Olszewski, który Wołłowicza przezywał „prymasem Litwy“, to jest tytułem, jakiego nigdy nie używał sam biskup. Pochlebstwo to skusiło następcę Wołłowicza; ks. Białozor nazywał się przez pychę prowincjonalną prymasem litewskim. Sam biskup przed śmiercią na dwa lata prosił przy znakomitych osobach ks. Olszewskiego o kazanie na swym pogrzebie i uczony jezuita dotrzymał danego słowa. Ale oprócz niego, Karol Andrzejowski, benedyktyn lubieński, wychwalał Wołłowicza w kalendarzu, który wydał r. 1678. Mówi tam między innymi, że żywot biskupa drukowany jest w Krakowie. Osobliwość musi to być wielka, gdy książeczki tej kłótki dotąd ze znawców rzeczy bibliograficznej nie widział.

22 grudnia 1860.

Julia Bartoszewicz.

Kronika tygodniowa.

Będziemy więc mieli wzorowe, illustrowane wydanie Paska. Czytaliśmy o tym ogłoszenie przed kilku dniami w Gazecie Codzienniej.

Pan Pietkiewicz dostarczył fundusze, pan Bartoszewicz zajmie się przejrzaniem tekstu, ułożeniem życiorysu i dodaniem przypisków porównawczych; całą zaś część wydawniczą i artystyczną wzięją na siebie pan Kraszewski. Z programu części artystycznej mają być zupełnie wyłączone fantazyje, a stanowić ją będą autentyczne portrety, współczesne widoki, uzbrojenia, sprzęty i t. p. Ma to być jednem słowem rysunkowe odtworzenie XVII wieku, tak jak Pamiętniki Paska odtworzyły nam ten wiek w żywym słowie.

Dzielo więc to będzie miało wysoką naukową i archeologiczną wartość, co pożądanem jest dla kraju naszego, dość ubogiego w podobne wydania.

Pan Kraszewski, który tak gorliwie zajmuje się wprowadzeniem w czyn tego pięknego pomysłu, donosząc o powyższych szczegółach, ogłasza zarazem, że zapewne drzeworyty, papier, druk i t. p. będą musiały być zagranicą wykonane, wątpi bowiem, żeby to wszystko na miejscu dokładnie zrobić się dało.

Kilkakrotnie już przekonałszy czytelników szczerem wyjawieniem naszego zdania, iż nie jesteśmy wcale zwolennikami tej solidarności zaściankowej, (bo trudno to miłością kraju nazwać), która każe nam wszelkie swojskie mierności uważać za arcydzieła, przenosząc w stokroć wszystko to, co się zagranicą pojawia.

Nie przeczymy więc i temu, że drzeworytnictwo, drukarstwo, a nawet fabryki papieru niżej jeszcze u nas stoja, aniżeli zagranicą. Lecz aby je podnieść, potrzeba tylko dobrej woli, staranności, wprawy, a przede wszystkim i nadewszystko zachęty.

Zachęta tu właśnie stanowi główną dźwignię. Nieraz nadzieja odpowiedniego zysku podwaja staranność, stając się do niej pobudką. Wydawnictwo Paska, o ile nam się zdaje, będzie bardzo kosztowne, bo sama myśl wykonania tego wszystkiego zagranicą, (a wiadomo jak wielkie to wydatki pociąga za sobą), dowodzi już, że wydawcy wcale oglądać się nie będą na koszt, byleby wartość roboty im odpowiedziała.

Pytanie teraz, czy papiernie, drukarnie i drzeworytynie nasze, przekonawszy się że kosztu stosownie będą wynagrodzone, nie potrafiłyby zdobyć się na dokładną robotę?

Staranność drzeworytu zależy w znacznej części od czasu jaki drzeworytnik poświęcić nań może, ten zaś ostatni warunek zawisł głównie od zapłaty jaką pracujący otrzymuje za swoją robotę. Wszak widzimy nieraz francuzkie i angielskie drzeworyty, robione jak to mówią na fuszerkę, gdy tańsze trochę za nie ofiarowano ceny, a trudno znów wszystkie bieżące roboty na wagę złota płacić. Inna rzecz z Pamiętnikami Paska, bo wydawcy ich mogą i powinni nie szczędzić kosztu, więc mają prawo żądać i odpowiedniego wykończenia.

Przynajemy zresztą, że w robocie drzeworytów i zdolność artystyczna niemało znaczy, i że niezawsze staranność i praca mogą ją zastąpić; ale odbijanie ich, druk i papier, przy dobrem wynagrodzeniu, mogłyby niezawodnie nie zostawić nic do życzenia.

Ponieważ odezwanie się wydawcy Paska o zamierzonym drukowaniu dzieła tego za granicą, było tylko warunkowem, ponieważ sam kilkakrotnie prosił pod tym względem o zdanie, ponieważ zresztą przekonani jesteśmy, że zawsze i wszędzie ma on tylko dobro publiczne na celu, nie wahał się wypowiedzieć otwarcie naszego przekonania. Może słowa nasze, wzięte pod uwagę, dopomogą do rozjaśnienia tej kwestii, dość ważnej w wydawnictwie tutejszym.

Pomiędzy różnemi nadużyciami d publicznej, ogłoszono u nas o pewnym w jednym ze składów tutejszych w papierku storublowy, wykradzony, w dobnemi, z akt sądu wojennego pr ordynanshaucie. Bardzo słusznie że te użycia ogłaszane są publicznie, dla z rzeniu się ich; sądzilibyśmy jednak iż tym ogłosić znaki, za pomocą których szenia tych znaków, trudno rozpozna ginał, zwłaszcza że kopiujący są nie artystami. Niepodobna czasem odróżn del Sarto, podpisana nazwiskiem Ranału tegoż mistrza, a cóż dopiero pierka. Może z tego wyrodzić się i niepotrzebnych, czemu z łatwością szenie przez pisma publiczne rzeczom szerstwa.

Sąd kryminalny paryzki w zeszl wiesił swoje czynności, z powodu br To krótkie doniesienie jest odpowie jakie moralisci nasi przez pewien czynili po tutejszych dziennikach zgm jest zarazem wskazówką, jak dalece cywilizacja wpływa na moralność pi zę wka taka jest konieczną, nie wszy wierzą w to dobroczynne powołanie jednak przeglądał dzienniki francuz ten mógł przekonać się z łatwością, bionych, tyle tam o znalezionych i wa doniesień, i to b przedmiotac o drogocennych klejnotach, wysokie znych i t. d. Niepotrzeba tam ogłas cających do oddania cudzej własr wiem moralności publicznej i punl

tego dostatecznym. Ci ogłaszający właśnie do najbi-dniejszej klasy ludu należą i zwykle mają to sobie za ubliżenie, jeśli im kto wspomni o pieniężnym wynagrodzeniu.

Nie chcemy twierdzić żeby i na Zachodzie brakło zbrodniarzy i przestępców, ale liczba ich jest tam stosunkowo znacznie już zmniejszoną. Niechajby kto probował na ulicach u nas, jak to się w Paryżu dzieje, wystawiać na widok publiczny, bez opieki ochronnej szyby, próbki towarów, często nawet bardzo drogich. Niechby kto spróbował ufać tutaj służącym, jak to tam ma miejsce. Francuz służący albo służąca obrazi się, gdy mu kto najmniejszy znak nieufności pokaże, bo w istocie nadużywający dobrej wiary panów są tam wyjątkami. U nas przeciwnie. Francuz z którejby klasy społeczeńskiej potrafi uszanować siebie, ale szanuje zarazem i drugich, znając wybornie obręb obowiązków jaki ich względem niego, a jego względem nich wiąże. My o tych obowiązkach właśnie często zapominamy. Od drugich dla siebie wymagamy wiele, lecz sami nie czujemy się względem drugich obowiązani. Nie o to chodzi, jakim sposobem obejść prawo, ale jakim je dopełnić. Cywilizacja właśnie tego uczy i wskazuje korzyści ze stanu społeczeńskiego, doprowadzonego do pewnego stopnia doskonałości. Ucywilizować się jednak bez ciężkiej pracy nad sobą niepodobna, a nam pod tym względem wiele, bardzo wiele jeszcze pozostaje do zrobienia!

Akcyje towarzystwa sztuk pięknych rozkupowane są nie tak szybko, jak to się nam z początku zdawać mogło; wszakże akcyj tych dość znaczna ilość jest już puszczoną w obieg. Dzieje się tu jednak to, co już kilkakrotnie zdarzyło nam się zauważyć w tego rodzaju sprawach: ci na których najwięcej liczyłyby należało, ci których pieniądze i wpływ powinny być największą podporą towarzystwa, mało stosunkowo przyczyniają się do rozprzedaży akcyj. Więcej daleko robi ogół, nietylko wprowadzając zamożny, ale chętniejszy, i pod tym względem kilka ciekawych wydarzyło się niespodzianek.

O przedstawieniu Hajdei nie do nas należy zdawać sprawę; musimy jednak oddać sprawiedliwość dyrekcyi opary naszej, że nie zaniedbując dobra publiczności, wzbogaca repertuar ciągłemi nowościami. Jakkolwiek bowiem Hajdea jest tylko wznowieniem, trzeba było się wszystkiego prawie na nowo uczyć. To dowodzi że artystom łatwiej u nas śpiewać, aniżeli mówić; boć i *Werbel domowy*, komedyo-opera czy też obrazek, we śród pierwszy raz w teatrze Romzaitości przedstawiony, najwięcej się podobno muzyką zaleca.

Wracając do opary, wspomnimy jeszcze parę słów o konkursie na libretto, do którego muzykę ma napisać p. Dobrzyński. Ponieważ pomimo zebrania żądanej summy, konkursowi widocznie trudno jest przyjść do skutku, dobrzeby może było, żeby rozrządzający tym funduszem porzucił jednę z literatur tutejszych, któ-

mogły do rozwinięcia u nas muzycznego usposobienia. Pod tym względem Warszawa bardzo jest zasnana, i trudno o dom, z któregoby przynajmniej po kilka razy na dzień jakie dźwięki muzyczne nie dawały się słyszeć.



EUZEBIUSZ SŁOWACKI. (Rysował Polkowski, rytował Styfi w Warszawie).

Przy wyborze mieszkań stało się to nawet w pewnym względzie zasadą, że przyszły lokator pyta się właściciela domu, czy nie będzie miał czasem jakiego muzycznego sąsiedztwa; jest to bowiem najuprzykrzejsza ze wszystkich plag ludzkości. Gammy i egzericye odzywające się codziennie, gotowe najzdrowszego człowieka w hipokondryka przemienić. Sam pamiętam, że zdarzyło mi się raz mieć mieszkanie wygodne, suche, a nawet i tanie, i musiałem je opuścić, bo na nieszczęście sąsiedowałem z gospodarzem domu, który miał pięć córek, a każda z nich po trzy godziny na dzień egzerycyowała się na fortepianie. Dwa kwartały które w tym mieszkaniu przebyłem, nabrały mnie takiego rozdrażnienia nerwowego, że najmniejszego hałasu znieść nie mogłem. Doktor poradził mi albo dopomóż do wydzania wszystkich tych pięciu pań za mąż, albo samemu zmienić mieszkanie. Wybrałem ten ostatni środek, jako mniej nastro-

nieprzyjemnym. Znam pewnego jegomości, który jest zapalonym nieprzyjacielem muzyki, na opery nie chodzi, raz tylko namówiono go na koncert Liszta i spał przez cały czas. Nie tai się on wcale z tą swoją antypatyą do muzyki, owszem gdzie tylko może i jak może, oświadcza się z nią, choćby nawet przy artystach najbardziej zapalonych do swojej sztuki.

Przychodzę raz do niego, a zmienił był mieszkanie, i zastaję go siedzącego w swoim pokoju nad robotą. Był jakoś w dobrym humorze, twarz miał rozjaśnioną i pióro jego szybko biegło po papierze. Widocznie znajdował się, jak to powiadają, w sztosie. A zdziwiło mnie to tym bardziej, że z sąsiedniego mieszkania, od którego naszego muzykofoba drzwi tylko zamknięte rozdzielały, odzywały się jakieś śpiewy z akompaniamentem fortepianu.

— Jak się masz? rzekł, dobrze żeś przyszedł; ale zatrzymaj się chwilę, muszę skończyć bardzo pilną robotę.

— Zmiłuj się, odpowiedziałem, jakże możesz pisać?

— No, dlaczego? zapytał, odwracając się do mnie.

Wskazałem milcząco na drzwi.

— I cóż, rzekł znowu, jakby nie rozumiejąc mego gestu.

— Czy nie słyszysz?

— Co?

— A muzyka, śpiewy, fortepian. Jabym tu ani chwili nie wytrzymał. Tym bardziej się dziwię tobie, który jak wiem nie słyszysz z wielkiego amatorstwa, że możesz tu wytrzymać.

— Dajże pokój, odpowiedział śmiejąc się.

Gdyby oni dobrze śpiewali i grali, to nie mówię, ale powiadam ci ani jednej tam nuty czystej; fałszują, że aż włosy powstają na głowie! To też mnie cieszy, bo ja tylko taką muzykę znieść mogę.

PAMIĄTKI MALOWNICZE PO RODZINIE SŁOWACKICH.

Nieliczne szczegóły o życiu Juliusza Słowackiego, rozrzucone po czasowych pismach, nie zostały dotąd należycie uzupełnione i złożone w jedną całość. Materiały dostarczone w ostatnich czasach przez panią Aleksandrę Słowacką, wdowę po ś. p. Władysławie Słowackim, i umieszczone r. 1859 w *Gazecie Codziennej*, rzucają wiele światła na domowe życie i charakter poety. Zamysławiając w tym miejscu zatrzymać się wyłącznie nad kilkoma malowniczymi pamiątkami, wiążącymi się ze wspomnieniem Słowackich, ograniczyć się nam przyjdzie na powtórzeniu niektórych zaledwo dat i faktów z życia Juliusza, wiadomych już z kądinąd.

Juliusz Słowacki, urodzony 28 sierpnia 1809 roku w Krzemieńcu, był synem znanego w piśmiennictwie naszym Euzebiusza Słowackiego (którego wizerunek tu załączamy), profesora literatury najprzód byłym krzemienieckim liceum, a w końcu w byłym wileńskim uniwersytecie. Sieroctwo po ojcu, które go w dzieciństwie dotknęło, starała mu się nagrodzić matka, Salomea z Januszewskich, która, pomimo powtórnych małżeńskich związków z doktorem Augustem Becu, troskliwie kierowała wychowaniem i nauką syna.

w kopii drzeworytowej portret Juliusza Amorka, wykonany przez profesora zo wileńskiego uniwersytetu Jana Ru-

przenosi myśl naszą w dzieciinne lata poety.

Na odwrotnej stronie wizerunku czytamy nieznaną ręką dodaną notatkę, że zaczęty w grudniu 1813 r., skończony został dopiero w czerwcu 1814, gdyż choroba dziecka kazała zatrzymać robotę. Poniżej znaj-



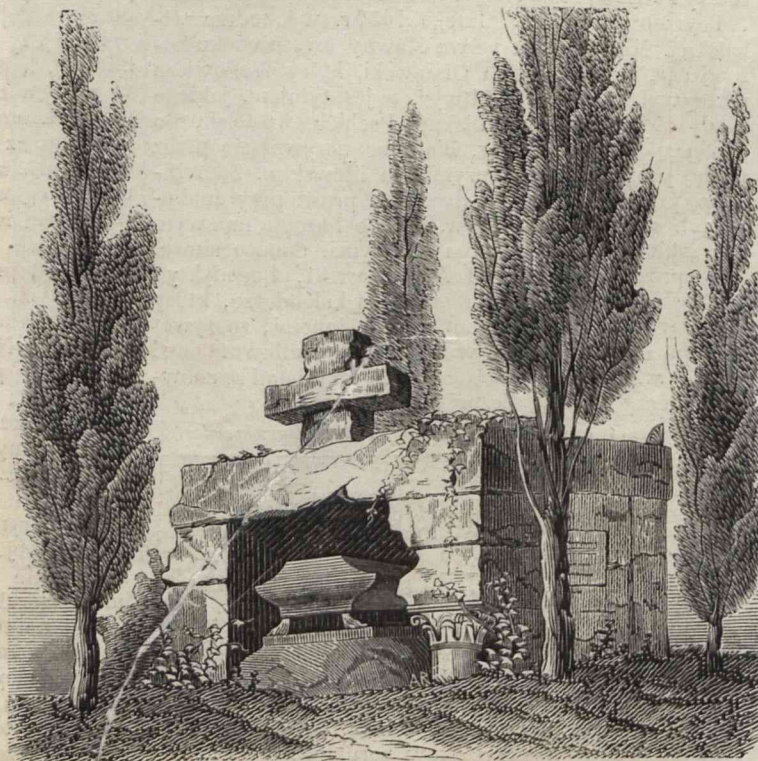
PORTRET JUL. SŁOWACKIEGO W WIEKU DZIECIŃNYM. (Podług Rustema rys. Tegazo, ryt. w dzieworotni Tygodnika)

duje się następujący czterowiersz:

Ten co umiał to płótno w Amorka zamienić,
Rywal Albana — jego pędzla ma ozdoby.
Poznawszy go, nie wiemy czyli więcej cenić
Wybornosć jego sztuki, czy słodycz osoby.

Nieustanną troskliwość matki, odplacał nasz poeta niemniej wygórowanym uczuciem miłości synowskiej. W każdym niemal wierszyku, nieprzeznaczonym do druku, w każdym liście pisanym do krewnych, wspomina ją z niewystawionym szacunkiem i przywiązaniem, a każda okoliczność przywodzi mu na pamięć jej obraz. Zamiast wymarzonej Beatryksy lub Laury, silny miłością i boleścią swoją, znakomity poeta nasz za symboliczny ideał dożgonnej tęsknoty obrał swoje matkę.

Początkowe nauki przechodził Juliusz Słowacki w krzemienieckim liceum, a po ukończeniu kursu w wileńskim uniwersytecie, zajął posadę w ministe-



KOPIA WŁASNOREČNEGO RYSUNKU JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

ryum skarbu w Warszawie. Z prywatnych źródeł wiemy, że od dzieciństwa nie był czerstwem obdarzony zdrowiem, i że w roku 1826 odbył podróż do Odessy, szukając uleczających środków w morskich kąpielach; lecz po powrocie do Wilna, cierpienia

piersiowe znowu się wzmogły. Będąc wówczas (1827 r.) w końcu akademickiego kursu, wstrzymywał wyjazd swój za granicę i w liście z tej daty do jednego z krewnych, rojenia młodzieńcze albo przenoszą go w jaką piękną ustron w Włoszech, albo budzą chęć kupienia wioski w okolicy Krzemienia, żeby się nie oddalać od naukowego ogniska.

Poeta nasz umarł po długiej chorobie w Paryżu, dnia 15 kwietnia 1849 roku. List księdza Felińskiego, drukowany w r. 1859 w *Gazecie Codziennej*, zostawił nam szczegółową pamięć ostatnich chwil jego. Pochowany dnia 17 kwietnia na cmentarzu Montmartre, i oto mamy przed sobą grobowiec, pod którym spoczywają jego zwłoki. Prócz tego matka, pani Salomea Becu, uczciła pamięć syna pomnikiem w Krakowie, w kościele akademickim.

Niepodobna w końcu nie wspomnieć o medalionie Słowackiego, wykonanym ze spiżu, w dwóch tylko egzemplarzach, przez p. Władysława Oleśczyńskiego, z których jeden zdobi pomnik zmarłego, a drugi przechowuje się u jego rodziny.

Upzejmości pani Aleksandry Słowackiej zawdzięczam jeszcze ołówkowy, własnoręczny szkic naszego poety, familijnego nagrobku dla Jana, Julii i Melanii Januszewskich, który przesyłam Tygodnikowi Ilustrowanemu. Dla łatwiejszego użytku artysty, komunikuję szacowny ten zabytek w oryginale, upraszając publicznie redakcyi o zwrot jego, dla oddania rodzinie. *J. Prusinowski.*

KOŚCIÓŁ FILIALNY W RYPINKU POD KALISZEM.

W miłym ustroniu, o pół wersty od Kalisza odległym, we wsi Rypinku, stoi tuż przy trakcie do Wielunia, na wzgórzu, mała kapliczka z drzewa sosnowego, tarciami obita, otulona przychylnym cieniem kilku wiązów, co ją zdają się chcieć zasłonić przed okiem przechodniów. Z małej kościółka tego wieżyczki, codziennie przy zachodzie słońca dźwięczny odgłos dzwonka wzywa do modlitwy mieszkańców Kalisza; a kiedy w pierwszą niedzielę maja każdego roku odgłos wesółych pieśni pobożnego ludu, który ze wsi Dóbrca, jako od macierzystego kościoła, każdego roku tu na odpust z kompanią pospiesza i przez

miasto Kalisz przechodzić musi, dojdzie uszu Kaliszan, a powiewające chorągwie w powietrzu na drodze do Rypinka się ukaza, wtenczas kto tylko jest wolnym

w Kaliszu, a głównie potomkowie dawnych obywateli miasta, spieszą do Rypinka na odpust, by podziękować Bogu za opiekę, jakiej ich przodkowie przed 150 laty w tym miejscu doznali.

Ta kapliczka bowiem, to owoc ofiar mieszkańców Kalisza, to nabożeństwo, to podziękowanie Bogu za oswobodzenie Kalisza od najścia Szwedów i pobicie ich przez wojska najjaśniejszej Rzeczypospolitej polskiej, w tej tu stronie.

Tam gdzie dziś stoi ta mała kapliczka, wznosił się dawniej obszerny kościół parafialny, z którego dotąd pozostały tylko: ołtarz i dwa obrazy; a kościół ten i przywiązana do niego niegdyś parafia, sięgały pierwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce.

Jakkolwiek bowiem brak papierów po za wiek XIV, przy kościele w Dóbrcu, do którego obecnie kościół w Rypinku jako filia należy, i darremne poszukiwania w archiwach kapituły kaliskiej, konsystorza kaliskiego i akt dawnych, żadnych pewnych śladów o początku tego kościoła nie wykryły; przecie zważywszy tę okoliczność, że mieszkańcy wsi Rypinka, leżącej tuż przy dawnym Kaliszu, a rzeką Prosną od niego oddzielonej, tak jak dziś Praga od Warszawy, mając utrudzony sobie przystęp do miasta częstymi wylewami tej rzeki, nie mogli nieraz oddać chwały Bogu w kościele, wcześniej więc o wzniesieniu u siebie domu modlitwy pomyśleli, ile że przyległe wioski: Zagórzynek, Piwonice, Sulislawice i Czaszki, też samą parafią niegdyś składające, teje niewygody doznawały. Ztąd też najdawniejsze wizyty kościelne, mówiąc o kościele w Rypinku, zawsze go do początku chrześcijaństwa odnoszą, a lud tutejszy w podaniu swoim aż do pogaństwa sięga.

Za tem przypuszczeniem przemawia i nadanie kościołowi temu patrona; kościół bowiem ten jest poświęcony pod wezwaniem św. Gotarda, biskupa hildesheimskiego (w Niemczech), mało dziś u nas znanego, żyjącego w X i XI wieku, którego cześć zaraz po jego śmierci (1038 r.) szeroko była rozpowszechnioną po Polsce. Zapewne więc poświęcenie kościoła tych czasów sięga.

Kto go wystawił i proboszcza przy nim uposażył, niewiadomo, wieś bowiem Rypinek, będąca obecnie własnością prywatną, należała od XIV wieku w połowie do miejscowego proboszcza, w połowie zaś do kanoników regularnych w Ka-

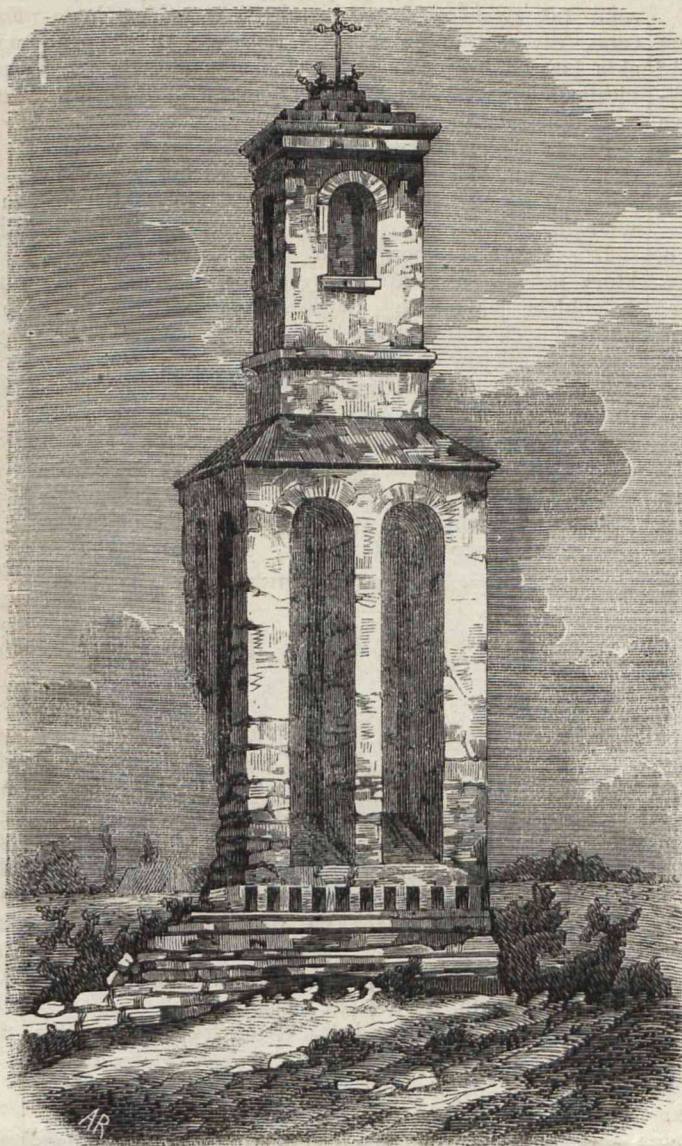


FIGURA ZA RYPINKIEM POD KALISZEM. (Rysował Podbielski podług Barcikowskiego, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)



KOŚCIÓŁ FILIALNY W RYPINKU POD KALISZEM (Rysował Podbielski podług Barcikowskiego, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)

liszu, przez Kazmirza Wielkiego w r. 1358, ze wsi Maki v. Meki, z pod Sieradza tutaj przeniesionych. Być więc może iż była pierwotnie własnością albo miasta Kalisza, albo monarchów, którzy nią duchownych obdarzyli.

W XII i XIII wieku kościół ten stanowił osobną parafię. Od XIV zaś (1362) już go wspominają akta miejscowe jako filialny, do kościoła w Dobrcu przyłączony, z obowiązkiem odprawiania tu nabożeństwa parafialnego; a gdy w XVI wieku (1516) proboszczowie dobrzeczcy obowiązku tego zaniedbywali, Jan Łaski prymas, arcybiskup gnieźnieński, przypomniał im go, i nadal sumiennie wypełniać polecił.

Taki był stan rzeczy aż do początku XVII wieku. W czasie bowiem najścia Szwedów na naszą ojczyznę i bitwy pod Kaliszem (d. 26 października 1706 r.) kościół ten, jak niesie podanie miejscowe, został zniszczony. Czy po nim zostały jakie ślady, niewiadomo. Wizyta w r. 1752, mówiąc o dzisiejszej kapliczce, (wzniesionej z ofiar dobrowolnych mieszkańców Kalisza, staraniem Benedykta Janiszewskiego, tereyarza zakonu ks. reformatów kaliskich, który, za pozwoleniem dycecyjalnej i swojej władzy, przy kapliczce tej mieszkał) powiada: „ze kościół dawny, skutkiem obojętności proboszcza miejscowego, który na nim dachu nie naprawił, runął, a na jego miejscu kapliczka ta stanęła.“

Czyli zaś zniszczona świątynia, był to pierwotny kościół rypinkowski, czy też, jak chce podanie miejscowe, był to nowy kościół, wzniesiony zaraz po wypędzeniu Szwedów, z ofiar żołnierzy polskich, którzy dawny kościół spalić mieli w czasie bitwy, niewiadomo. W kapliczce dzisiejszej, odnowionej w r. 1847, staraniem pobożnej i dobroczynnej pani, byłej dziewczki Rypinka, s. p. Gabryeli z Zajczków Radoszewskiej, znajduje się jeden tylko ołtarzyk, gustowną sycerską robotą wyrobiony, pozostały z dawnego kościoła. W nim stary obraz, wyobrażający św. Gotarda, jak wskrzesza umarłego, a po bokach figury drzewiane śś. patronów polskich: Jacka, Floryana, Salomei i Kunegundy, sycerskiej roboty.

Drugi obraz, znajdujący się obecnie w zakrystyi, także z dawnego kościoła pozostały, wyobraża św. Onufrego i jest dobrego pędzla.

W kościele tym, oprócz lichtarzy i światła, niema żadnych aparatów, lecz je zawsze przybywający kapłan na nabożeństwo ze sobą przywozi. Proboszczem dobrzeczkiem obecnie jest ksiądz Kobylński, który dostarczył nam wiadomości o powyższym kościółku.

Figura za Rypinkiem, na gruncie Zagórzynka pod Kaliszem.

O ćwierć mili od m. Kalisza, w stronie południowo-zachodniej, za wsią Rypinkiem, na gruncie dóbr Zagórzynka, stoi w polu, w pobliżu cegielni, ponad drożyną od Starego Kalisza do wsi Noskowa wiodącą (przy dawnym trakcie kalisko-wieluńskim) figura murowana z cegieł, u spodu zaś wewnątrz podłożona kamieniami polnemi znacznej wielkości, z każdego boku do trzech łokci szeroka i proporcjonalnie wysoka, jak ją załączony rysunek przedstawia, uważana powszechnie jako wystawiona na pamiątkę generała szwedzkiego Mardenfelda, tutaj poległego, czemu jednak sprzeciwiają się następujące okoliczności:

1. Generał Mardenfeld nie poległ w bitwie Sasów ze Szwedami pod Kaliszem d. 26 października 1706 r. zaszł, lecz do niewoli przez Sasów czy Rossyan wzięty został.

2. Miejsce głównej bitwy nie tutaj było, tylko pomiędzy Noskowem a Kościelną wsią, około Piekarta i Dobrcza, a więc w kilku miejscach. (Należy tu nadmienić, że w aktach kapituły kaliskiej są dowody, iż starcie się wojsk miało miejsce i pod Rypinkiem).

3. Osobie wyznania protestanckiego nie stawiano by kapliczki.

4. Budowa tej figury, uważana pod względem materiałów i kształtu, zdaje się pochodzić z XV, a może i z XIV wieku.

Przypuścić więc można, że to była kapliczka wystawiona przy końcu panowania Piastów, albo za Jagiellonów, zapewne przy trakcie z Kalisza ku Wieruszowu lub Wieluniowi, tamtędy przechodzącym, przerniętym drożynką terazniejszą; że zaś zdawna, zamiast zniszczonych kościołów, budowano kapliczki, jako pomniki miejsc poświęconych, być może że i tam stał jakiś kościółek za Piastów.

Przypuszczenie że tutaj stała kollegiata św. Pawła, przez Mieczysława Starego w połowie XII wieku wzniesiona, przy której tenże pochowany został, byłoby za śmiałe; gdyż to miejsce od posady dawnego miasta Kalisza jest blisko o 1,500 kroków odległe. Nadto dziś już nie ulega wątpliwości, iż kollegiata św. Pawła stała

na Starém Mieście, gdzie dotąd są ślady muru i mieszczanie w ogrodach wykopują kości ludzkie.

Bądź jak bądź, miejsce to na sześć wieków wstecz uważane, musiało mieć pewną styczność, czy to z górami tak zwanymi szwedzkimi, (*) w pobliżu będącemi, czy ze Starém miastem Kaliszem, co wszystko akta kościelne, sądowo-archiwalne albo miejskie, jeżeli niezupełnie wyświelić, to przynajmniej domysłowo uzasadnić zdołają.

Forma cegieł figury, jako i twardość onych, utwierdzają to mniemanie, iż pochodzą z wieku w którym i kościół św. Mikołaja (w dzisiejszym Kaliszu) był stawianym.

Dziś figura ta pozbawiona jest krzyża żelaznego, który jeszcze przed kilką laty ją zdobił, kopanie zaś w pobliżu jej możeby naprowadziło na jakie ślady podziemnych starożytności.

Stan dzisiejszy w mowie będącej figury, przy podstawie od strony południowo-zachodniej wielce uszkodzonej, obawiać się każe, iż jeżeli wzmocnioną nie będzie, to za lat kilka w gruzy się rozsypie. Pospieszam więc z wiadomością, iż otrzymaliśmy zapewnienie p. Wojniczka, dziedzica dóbr Piwonice i Zagórzynka, że z nadchodzącą wiosną pomnik ten naprawionym i ogrodzonym zostanie. S. Barcikowski.

N I G D Y.

(Dalszy ciąg.)

3.

— Wychodzisz? Więc odechodzę. Bądź zdrow!

— A to ty Gustawie, odezwał się widocznie niechętnym głosem Kazmirz, który się właśnie zabięrał do wyjścia, gdy Gustaw we drzwiach się ukazał.

— Ja, ale widzę żeś na wychodnym. Nie przeszkadzam.

To mówiąc, wszedł przecie, a nawet usiadł na fotelu wygodnym, obok stołu stojącym.

Na stole leżało kilka książek, między innymi jedna otwarta, a w tej podkreślony wiersz: *Nieznalezienie gorsze niżli zguba*. Obok tego wiersza margines cały pokryty był drobną ołówkową notatką.

Kazmirz spiesźnie, choć nieznacznie, zamknął i usunął książkę, zebrał kilka rozrzuconych zapisanych kartek i podał cygaro gościowi.

Gustaw w roztargnieniu nie zważał na niezadowolenie z jakim gospodarz go ugaszczal i położywszy kapelusz, najswobodniej zapalił cygaro.

— Myślałem żeś dziś w teatrze, wyrzekł Kazmirz, z tęsknotą prawie oglądając się za książką.

— Nie, jestem dziś na wieczorze u sędziostwa.

— To nie przeszkadza.

— Owszem, teatr Wielki kończy się późno, a tam obiecałem być wcześniej.

Kazmirz odetchnął trochę, widząc że Gustaw jeszcze nie w fraku i nie ufryzowany. Jeszcze będzie czas, pomyślał sobie w duchu, widać przechodząc wstąpił tylko do mnie. I rozpogodzony tą nadzieją, spojrzawszy ukradkiem na zegarek, sam zapalił cygaro i na drugim zasiadł fotelu. Zawsze jednak z przymusem widocznym szukał zapytań i z roztargnieniem słuchał odpowiedzi.

— Co dziś grają? nie widziałem afisza.

— Podobno Hernaniego.

— A, słyszałem go zeszłego tygodnia, wybornie idzie.

— A propos Victor'a Hugo. Właśnie po to do ciebie przyszedłem. Nie masz ty czasem ostatniego tomu Feuillet'a? Tak mi zachwalał: *La clef d'or* i *La Fée*. Zdawało mi się żeś je widział u ciebie.

— Miałem, ale pożyczyłem. Jak odbiorę, to ci dam, bo prześliznę.

— A długo tam czytają gdzie pożyczyłeś? Jeżeli kobiecie, to się nie doczekam. Te panie teraz w dzień robią sprawunki, a w nocy tańczą.

— Pożyczyłem go panie Annie, z prostotą wyrzekł Kazmirz.

— A! Anna! to co innego. Ona dużo, więc pewnie i prędko czyta; trochę nawet podobno na literatkę zakrawa. Rzecz dosyć naturalna zresztą, *une manie comme une autre*. Nie znam kobiety coby nie miała manii jakiegokolwiek, nie poszedłszy za męża do lat dwudziestu kilku. Anna ma zapewne tyle?

— Nie wiem.

— Ona bardzo dobrze rozmawia. Tyle życia, tyle

(*) Lubo niektórzy autorowie utrzymują, że zamek Zbigniewa znajdował się obok dzisiejszej kollegiaty p. Maryi, góry jednak szwedzkimi zwane, leżą w miejscu dawnego zamku Kalisza (Zbigniewa) i w dokumentach kapituły kaliskiej zowią się *Antiquum Castrum*. (Przyp. autora).

zapału, nawet oryginalności w jej rozmowie, że cały wieczór kiedyś u Karolów z nią mówił i zabawiłem się doskonale.

— Ja także doskonale się z nią bawię, odparł Kazmirz, a Gustaw nie dopatrzył ironii w tej odpowiedzi, a rację w głosie z jakim wymówioną była, czego my piórem wydać nie możemy, choć nam to bardzo nie na rękę.

— Wiész że Felcia jest po słowie? Ślub w maju.

— Tak? za kogóż idzie? Za Józia?

— Poeto nieuleczony! Zkądżeby znów Felcia szła za Józia? Idzie za obywatela, podobno z okolic twej siostry. Jakież masz wiadomości od pani Ludwikowej?

— Piszę mi Zosia, że się wybięra na bal w re-sursie powiatowej i że ciekawa jego fizyognomii. Mało jeszcze z kim zabrali znajomość w okolicy.

— Przybędzie jej sąsiadka z Felci.

Skończył cygaro i wziął za kapelusz. Kazmirz żywo powstał.

— A nie zapomnij o Feuilletcie.

— Nie, nie zapomnę, dziś jeszcze go odbiorę.

— A więc idziesz do Anny?

— Miałem zamiar...

— Nie przeszkadzaj; do widzenia. I poszedł wreszcie.

Kazmirz schwytał kapelusz i rękawiczki, rzucił okiem na zapisane kartki, włożył je w pugilares, chciał zabrać w kieszeń; potem znów ruszył ramionami, wyjął pugilares z kieszeni, kartki z pugilaresu; ale ode-drzwi się wrócił i ostatecznie zabrawszy notatki, zbiegł ze schodów.

W kwadrans potem odezwał się dzwonek, któregośmy poruszyć nie śmieli. Anna drgnęła przy swoim stoliku; pismo na klucz zamknęła. Idąc ku drzwiom wstrzymała się jeszcze na pierwszym wschodku, położyła rękę na sercu, spojrzała przez okno na księżyc jasny i weszła do saloniku, gdzie już Kazmirz witał się z panami. Podał rękę Annie, która mu miejsce wskazała przy okrągłym stole, gdzie się jasno paliła lampka. Wkrótce przy tymże stole zajęły miejsce milcząca ciocia i Steficia z robotką, i wniesiono herbatę. Niepotrzebny to może szczegół, ale nie chcę żeby moi czytelnicy przypuścili, iż w domu pana radzcy nie przyjmowano gości herbatą.

II.

O czem pan Kazmirz z panną Anną rozmawiał.

— ...Nie, doprawdy, pani nie wyobrazi sobie czem jest rozmowa między dwoma młodemi ludźmi, jaką męką są czasem nasze stosunki między sobą.

— Istotnie, że mi trudno to pojąć i wyobrazić sobie.

— I cóż robić? proszę pani. Przyjdzie kolega szkolny, uniwersytecki, biurowy wreszcie, jakże go nie przyjąć, jak wyprosić, jak nie przemówić do niego, jak nie słuchać co mówi, jak okazać, że przerwał samotność, rozproszyl myśli, okradł z czasu, zabrał wiele, a nie nie dał?

— Przepraszam pana, ale nim osądzimy występki, przypatrzmy się wprzód dobrze czy jest występkiem rzeczywistym. Otóż przerwać komu samotność, niezawsze jest występkiem. Są potrzebne chwile samotności na rozważę i modlitwę, i te każdy sobie zawarować może. Przedłużanie zaś samotności często jest wygodnym egoizmem, próżniaczem lubowaniem się, płonem lub niebezpiecznym marzeniem. Skrócenie chwil takich ani występkiem, ani krzywdą nie jest. Trudno także kogoś drugiego o rozproszenie własnych myśli oskarżać. Zdaje mi się, że kto bogatszy i świadomszy, od tego zależy taki ton i tok nadać rozmowie, aby ona przeciwnie do skupienia myśli wiodła.

— Ma pani wszelką słusność, tylko... że pani mówi jak być powinno, a ja mówię jak jest.

— A! przepraszam pana. Ja myślałam że pan szuka sposobów na to, żeby było inaczej jak jest; nie wiedziałam że to jest, stało się u pana rzeczą uznaną, nieporuszoną, poświęconą i nietkniętą. W takim razie przed futem uchylmy głowę i... I co dalej, panie Kazmirzu?

— Uważę się za pobitego w części, niemniej jednak utrzymuję, że trudne są koleżeńskie stosunki.

— Wié pan, mnie się zdaje że każde a każde stosunki są dziś trochę trudne i trochę jeszcze zamąco-
ne, od najbliższych zaczawszy. Każdy bądź naturalny, bądź okolicznościami nasunięty stosunek będzie ciężcy, przeszkadzać, utrudzać, męsząć, póki nie stanie się rzeczywistym *pożyciem dusz*. Zdaje mi się, że miłość rodzicielska, braterska, małżeńska, bez przyjaźni, bez jedności celu i wspólności dążeń, będzie zawsze tylko utrudnieniem i przeszkodą, nigdy pomocą. Nie rozumie żadnego uczucia, któregoby przyjaźń nie była podstawą. Bez niej będzie instynkt, będzie szal, będzie kaprys, ale nie będzie *miłości*. Niech pan weźmie najbardziej na pozor kochającą się rodzinę, niech pan sobie wystawi jej członków niepołączonych, prócz wrodzonego przywiązania, jednością i świadomością celu,

wspólnością dążeń, ile ten brak jedności i wspólności zrodzi prawdziwego rozdwojenia, ile się tam wola naszamocze, uczucie nadrażni, ile się tam siła zmarnuje! Ile to w domowym, na pozór spokojnym, życiu dramatów tajemnych w głębi dusz odegranych! Ile rzeczywiście dramatycznych sytuacji, z pokrzyżowania się pojęć i dążeń wynikłych!... Ale prawda, nie o tym mówiliśmy.

— Owszem, o tym właśnie. Jeżeli panią zrozumiałem, to pani utrzymuje, że podstawą wszelkich stosunków ma być jedność celu i wspólność dążeń.

— Rzeczywiście, ja tak utrzymuję. Niech mi pan nie powie znów, że ja mówię jak być powinno, a jest inaczej; bo ja wiem że jest inaczej.

— Ja zaś, co do zasady, zupełnie się godzę z panią, lecz to nie przeszkadza mi co chwila potracać o trudność stosunków z ludźmi. Czasem mnie napada skąpstwo na pychę zakrawające. Radbym zamknąć na wszystkie spusty drzwi do skarbcza uczuć moich i myśli, a jakiegokolwiek głosu brzęczą dookoła, mnie się nie chce wyjść z wewnętrznego świata mego i milczeć, kiedy inni gadają, co naturalnie stosunków nie ułatwia. Czasem znów, żeby pani wiedziała ile mi się zbierze ironii na sparodyowanie mojej własnej osoby, w każdorazowym zapale zagrzewającej do enoty, wołającej do pokuty, wskazującej drogę żywota. A czasem, jaki mnie niesmak opanowuje, kiedy nie chcąc milczeć lub apostołować, wezmę udział w najpospolitszej paplaninie. Między mrukiem, karykaturą a..... papugą, trudny wybór, niech pani samą przyzna. Czy kłamać ludziom, czy kłamać sobie, zawsze to conajmniej nieprzyjemnie.

— Po co kłamać? Pamięta pan w ewangelii te słowa: „Człowiek dobry, z dobrego skarbu serca swego wynosi dobre, bo z pełni serca mówią usta.“ Gdy w sercu są dobre skarby, to usta same z siebie mówią dobre rzeczy i niema kłopotu o stosowne lub mniej stosowne znalezienie się w towarzystwie, o śmieszność lub niezgrabność. Bo co innego *konwenans*, czyli układ dowolny między osobami które same sobie przywilej nieomyślności nadały, że to lub owo będzie się nazywać prawdą, dobrem, pięknem, a co innego prawda, dobro, piękno bezwzględne, odwieczne i wiekuiste. Przepraszam pana za uczynione niepotrzebnie objaśnienie; mnie ono w tej chwili przyszło i od razu głośno myśl świeżo rozjaśnioną wypowiedziałam.

— Powtórzę tylko przytoczony frazes pani. Z obfitości serca mówią usta. I gdyby tak zawsze, jakaby to roskosza, jaką pomocą była rozmowa! gdyby była szczerą zamianą myśli, gdyby zawsze miała władzę podbudzać życie duszy, gdyby potrafiła zawsze wynaleźć jego źródło! Ale to czasem, czasem tylko, myśl wypowiedziana jest tą laską czarodziejską, za której uderzeniem strumienie żywe tryskają. Mnie na przykład teraz wszystko czegośmy dziś dotknęli: samotność, marzenie, przyjaźń, rodzina, konwenans, w szczególny sposób podbudziło myśli, a ze sporym zapasem już tu szedłem. Chciałem się pani spytać o Feuillet'a, chciałem się podzielić wierszem Juliusza; w drodze mi wszedł jeden z szanownych kolegów, podrażnił, skwasił, i teraz jeszcze o to niepotrzebnie go uczeplił w rozmowie z panią, na którą i tak za mało czasu.

— Owszem, potrzebnie bardzo, bo ze wszystkich przedmiotów, które pan dziś do walnej narady przedstawił, ten pierwszy właśnie, a mianowicie stosunki koleżeńskie, podobno najważniejszy.

— Więc weźmy się do niego.

— I owszem, jam gotowa.

— Więc słucham.

— Jakto, czy pan nie ma nic do powiedzenia?

— Już powiedziałem że mnie nudzą, drażnią, męczą.

— I rzeczywiście w całym ciągu swego życia, między wszystkimi towarzyszami nauki i pracy, nie spotkał pan ani jednego człowieka, nie zbliżył się pan z żadnym na podział myśli, na ulgę serca, na siłę żywota?

— Miałem przyjaciół w trzeciej klasie, potem marzyłem o przyjaźni; teraz marzyć przestałem.

— A wie pan że to smutne.

— Nie przeczę, ale tak jest. Pożycie nasze zasadza się na tym, że tańczymy na jednych wieczorach, spotykamy się w krzesłach w teatrze, gadamy czasem z sobą parę godzin. Ale życie swoje wewnętrzne każdy najstaranniej przed drugim zasłania, jeżeli tylko ma co zasłaniać. To jest, ma w każdym razie, bo ten co niema dziejów duszy, ma widoki ambicyi, ma drażliwość miłości własnej, ma projekta kariery, z którym przed drugim się tai. Ztąd we wzajemnym zerknięciu się każdy szuka tylko zdawkowej monety, którąby dług towarzyskiej rozmowy mógł opłacić.

— Smutne to jest, smutne, ale naturalne. Zresztą.. inaczej być nie może. Smutne dziś, jest następstwem smutniejszego wczoraj. Ale jutro?... Tak, czytałam wszystkie prowerby Feuillet'a z wielką przyjemnością, z wielkim zajęciem nawet. Mówi on tam kobietom

pochlebstwa miłe i bardzo subtelne, każe swoim bohaterom wypowiadać prawdy bardzo żywotne niekiedy; czasem nawet bardzo trafnie naśladuje uczucie i prostotę.

— A doprawdy, że pani zbyt wymagająca, zbyt surowa. Jaktto, w jego *clef d'or* niema uczucia, niema prostoty?

— Powtarzam, jest doskonale, jeżeli pan chce, ich naśladowanie.

— Na to się z panią doprawdy zgodzić nie mogę; tam jest poezya co porywa.

— Prawda, ale porywa dokąd? W sfery egoistycznych marzeń, dwuznacznych tęsknot, drobnych bardzo, bo osobistych pragnień.

— I pani wszystkie te marzenia, tęsknoty, pragnienia nieodwołalnie i stanowczo potępia, dlatego tylko że osobiste?

— Dajmy temu pokój. Zdaje mi się że już raz panu powiedziałam, że to dla mnie trochę obca sfera.

— Sfera poezji, czy marzenia?

— Sfera poezji francuzkich romansów, poezya zbytku i blasku, ukrywająca pod najbarwniejszym kwieciami, teorią najbardziej wyrafinowanego egoizmu.

— Więc podług pani wcale sobie nie trzeba pozwolić nawet zapragnąć osobistego szczęścia?

— Podług mnie nie każde uniesienie wyobraźni, nie każde samolubne zachcenie serca, należy przyjąć bez sądu i uświęcić wolą. Wiele z nich trzeba zatrzymać i pożegnać u drzwi duszy, wcale ich wewnątrz nie wpuszczając.

— Pani doprawdy za wielkiej wysokości wymaga, bez żadnego względu na ludzkie słabości i na ciężką z niemi walkę.

— Owszem, ja walki nigdy nie pomijam w programacie życia; tylko że słabość uważam za pierwszego wroga, od którego powinna się zacząć walka, a nie za tarczę do zastłonięcia się przed walką.

— Tak, tak... walka, w całym życiu walka! Ale jeżeli nas nie usposabia do walki ta cała atmosfera w której nas wychowują; jeżeli wszystko zmierza do osłabienia hartu w naszych duszach! Ile to od początku, od rozbudzenia duszy, podają nam fałszów, ile subtelnej w nasze pojęcie i uczucia sączy się trucizny! Tłumnie, chaotycznie staje mi to wszystko przed myślą, ile razy z panią rozmawiam, ile razy tak nielitościwie jak dzisiaj przeciągam rozmowę. Ale panowie już wstają od preferans, pannie Stefani oczki się kleją. Dobranoc paniom!

Wracając, mówił sobie Kaźmirz: „Dobrze że ona nie piękna, bo mogłaby być niebezpieczną dla mnie.“

„Boże mój, Boże! szeptała Anna w oknie swego pokoiku, oddał odemnie tę myśl niebezpieczną, że ja mu do szczęścia, że ja mu do zbawienia potrzebną być mogę. Nie daj się złudzić sercu memu.“

III.

Co sobie mają do powiedzenia *dystygnowana kobieta* i *panna jak się należy*.

Pani Ludwikowa, jak już wspomnieliśmy podobno, od owego balu *zaprzyjaźniła* się bardzo z Helenką. Oddawna już z sobą były na poufalej stopie i wzajemnie odwiedzały się często. Jednego dnia, a było to już w końcu kwietnia, pani Ludwikowa nudziła się jeszcze więcej jak zazwyczaj. Mąż był w polu, przy zasiewach, a czyby się była mniej nudziła, gdyby nie był w polu, tylko w domu, to jeszcze wielkie pytanie. Szczęściem nie potrzebujemy go rozwiązywać; dość że męża nie było w domu, a pani Ludwikowa może dlatego, może nie dlatego, strasznie się nudziła. Jak powiedzieliśmy, tego dnia nudziła się jeszcze więcej, jak dni poprzednich, gdyż był to właśnie... czwartek.

Nie uważajcie tego, moi państwo, za przypuszczenie na niczym nieugruntowane. Czwartek dla tych, co się nudzą na wsi, jest rzeczywiście punktem kulminacyjnym nudów. W niedzielę niepodobna aby ktoś nie zajął; w poniedziałek wspomina się od biedy niedzielę i wygląda się wtorku; we wtorek słabną i zacierają się wspomnienia niedzieli, a środy wygląda się z pewnym rozdrażnieniem; zawód we środę rodzi melancholię, którą czwartek pomnaża znakomicie; w piątek się już budzi energia, a w sobotę tworzą się plany na niedzielę. Ale czwartek, czwartek, najgorszy.

Otóż było to we czwartek. Nudy pani Ludwikowej doszły swego apogeum, ale że pani Ludwikowa była w ogólności przedsiębiorczą, więc w niej we czwartek zaraz obudziła się energia i z projektem nie czekała soboty.

Koło południa złożyła książkę, którą leżąc czytała, wstała z szesłaga, wyjęła z biurka wonną ćwiartkę welinowego papieru i napisała do Helenki:

„*Ma douce et pale Hélène*. Cierpięca jestem i smutna; przyjeżdż mnie odwiedzić. Pożalę się przed tobą, zaakompaniujesz mi do tego romansu, który wam śpie-

wałam w niedzielę, a którego sama jeszcze zdeszyfrować nie mogę. Pan Henryk wspominał że dzisiaj musi być w Mal. Mógłby wstąpić po ciebie, nie wracałabyś sama. Posyłam ci bukietek fiołków i oczekuję niecierpliwie.

Sophie.

Wyprawiwszy ten bilecik, pani Ludwikowa zajęła się starannie ubraniem od niechcenia, ustawiła fiołki w swoim buduarze i koło godziny czwartej siedziała na kozetce, z rozlanym na twarzy wyrazem smętnej bezsilności.

Nie czekała długo. Ładnym kabryolecikiem pan Henryk przywiózł siostrę. Miał w butonierce kilka fiołków od niechcenia zatkniętych, zabawił chwilę, pożegnał panie obiedwie uściśnieniem ręki, ubolewając że musi spieszyć do Mal., obiecując ułatwić się jak najprędzej i wstąpić po siostrę, i odjechał, zostawiając dwie przyjaciółki, z których jedna była *dystygnowaną kobietą*, druga *panną jak się należy*.

Pani Ludwikowa wróciła na kozetkę, Helenka ułożyła w miękkim obok fotelu, co nie przeszkadzało śnieżnym jej rączkom, zajmować się delikatnym na batyście haftem.

Rozmowa zaczęła się od milczenia. Pani Zofia nie nastroiła się jeszcze na *tête à tête* z Helenką; Helenka była w chwili apatycznego swego usposobienia i na zajęcie zupełnie jej wystarczyło jednostajne wyciąganie nitki i równanie ściągów.

Po chwili pani Ludwikowa, nie unosząc się z kozetki, wyciągnęła słiczną swą rączkę po robotę Helenki.

— Pokaż, co haftujesz?

— Chusteczkę batystową.

— Bardzo ładny deseń, świeży i niezwykajny. A jak ładnie robisz, jak równo!

Helenka odpowiedziała uśmiechem bez słów, i znów była chwila milczenia.

— Był kto u was od niedzieli?

— Był wczoraj pan Stanisław.

— Al niedawno wrócił z Warszawy. Cóż mówił?

— Mówił że będziemy mieli nowe sąsiedztwo z żony pana Konstantego; ślub w maju. Czy ty ją znasz?

— Felcię? trochę. Widywałam ją na wieczorach.

— Jakże ona jest?

— *Passablement bête*. Ubierała się zawsze zabawnie, nosiła naiwne wianki ze stokrotek albo niezapominajek, chodziła i mówiła jak przez sen. Podobno się kochała sielankowo w jakimś dalekim swoim kuzynku. Oświadczenie pana Konstantego położyło koniec idylli.

— Owszem, może być dopiero początek idylli. Pan Konstanty przecie mieszka na wsi.

— Tak, ale pan Konstanty na pasterza czulego nie wygląda, a kuzynka pewnie na wieś nie zaprosi.

Helenka się zarumieniła nieznacznie i z lekkim wyrazem niezadowolenia brwi ściągnęła. Spozstrzegła to pani Ludwikowa, i uśmiech ironii przebiegł po jej twarzy, czego znów Helenka nie spozstrzegła.

Helenka nie była zepsuta, tylko nierozbudzoną, bezsilną, dziecinną. Dostyc powszechnem dotąd jest mniemanie, że takowe usposobienie stanowi wdzięk kobiecy. Zdaje nam się, że to mniemanie utrzymuje się tak długo jedynie pomieszczeniem i zaciemnieniem pojęć niektórych. Świeżość uczucia, świeżość myśli, zasoby wiary i zapału, młodość duszy, są to rzeczywiście przymioty piękne i pożądane, i znamy tak mężczyzn jak kobiety, co umieją je zachować, obok wiedzy i siły, co z tą młodością, cechą nieśmiertelnej duszy, umieją pragnąć większych rzeczy i wytrwale a logicznie w życiu je przeprowadzać. Ale dzieci tego nie potrafią, dzieci nie wiedzą i są na łasce tych, co wiedzą za nie. Dzieci mają tylko drobne i egoistyczne żądania. Dzieci umieją się bawić, grymasić, jeść i spać; więcej się od nich nie żąda i żądać nie ma prawa.

— Ale cóż po dzieciach, tam gdzie potrzeba ludzi, gdzie powinni być ludzie? Może być ładnie kobiecie z dzieciną minką, z dziecinnymi grymasami i z dzieciną swobodą; ale wdzięk ten będzie okupiony szkodą niejedną i niedrobną, jaka wyniknąć musi, gdy miejsce które ma zajmować, z którego ma działać *człowiek*, zajmuje *dziecko*. Szczęrze wyznajemy, nie lubimy dorosłych dzieci, mężczyzn czy kobiet, bo nam *ludzi*, *ludzi* potrzeba!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

SPROSTOWANIE.

W Nrze 70 Tygodnika, na str. 34, szpalta druga, wiersz 7 od góry, zamiast *z dziećmi*, powinno być: *z domu*, a nieco niżej, wiersz 12, zamiast *ojcem*, powinno być: *dziećmi*.

KAPLICA W JAWORZNY.

(*Podanie górnicze.*)

Na schyłku lata r. 185* zapędziłem się ze strzelbą na ramieniu aż do lasów położonych w bliskości wsi Jaworzny, przy trakcie z Białogona do Przedborza. Wierny ogar szedł zmęczony tuż przy mnie i tylko

czasem zwracał się w tę lub ową stronę, wietrząc swych z rodu nieprzyjaciół, zwierzyne. Już miałem wracać do domu, gdy wtém zdaleka doszedł mych uszu miarowy odgłos spadającej siekiery. Podchodzę bliżej i spotykam dwóch wieśniaków, okrzesujących z gałęzi sporego świerka, który, mówiąc nawiasem, zdefrudowali. Z początku widocznie zabierali się uciekać, lecz poznawszy że nie należą do służby leśnej, pozostali w miejscu i jeli się do ładowania na wóz swęj zdobycy.

Jeden z nich, jak się późniój dowiedziałem, stary górnik, widząc że nakładam fajkę, prosił mię o trochę tytoniu, którego mu tēm chętniej udzieliłem, że przyszła mi ochota wdać się ze starym w rozmowę.

Stary, jak stary, zawsze do gawędy gotowy; więc gdym go zaczął rozpytywać o tutejsze okolice, lasy i kopalnie, tak się rozochocił, że kazawszy swemu synowi jechać z drzewem do domu, sam ofiarował się doprowadzić mię do drogi i wskazać najbliższą ścieżkę do Białogona.

Mówiąc to o tēm, to o owém, doszliśmy nareszcie do kopalni, o której takie mi mój towarzysz opowiedział podanie.

„Zdawien dawna, bo już i mój dziadek nie pamiętali odkąd, nasza wieś i ta kopalnia były własnością hrabiów Tarłów i nasi przodkowie kopalni tutaj rudę ołowianą.

„Razu jednego przychodzą górnicy na kopalnię do roboty: aż tu w szybie wisi na sznurku jeden z ich kamratów i strasznie skrzywiony, na wszystkich oczy wytrzeszczył.

„Jest u nas zwyczaj po wsiach, że jak się kto powiesi w chałupie, to go nie wynoszą na pochówek drzwiami, ale pod progiem w ziemi przekopują dziurę i tą dopiéro samobójcę na świat wyciągają, aby jego grzech nie sprowadził nieszczęścia na dom cały. Trzeba było podobnie postąpić i z tym wisielcem, ale cóż, kiedy do kopalni ani drzwi, ani okien nie robią.

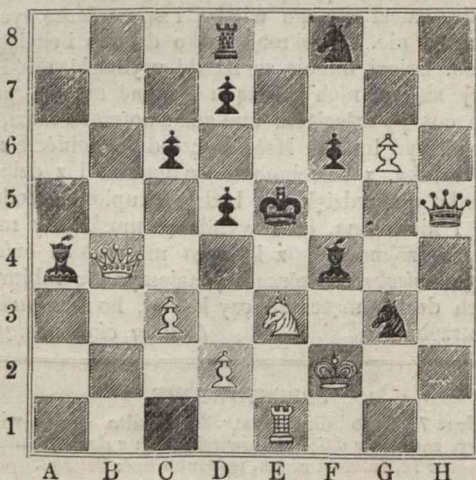
„Więc dziadus mój doradzili, aby go odciąć ze sznura i niech sobie gnije na dnie szybu. Poszli drudzy za radą dziadusia, a odciąwszy samobójcę, przysypali go jeszcze stosem kamieni.

SZACHY.

ZADANIE XLIV.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Białe.



Czarne.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 48.

Białe.

- 1) D 4 — F 5 † 1) D 3 — F 3 biorą.
- 2) A 6 — H 6 † 2) G 4 — H 6 biorą.
- 3) G 2 — G 3 † i mat.

Czarne.

„Od tego wypadku siła czasu upłynęło, gdy mój dziadek wyszli raz w nocy pilnować niedaleko kopalni zasianego owsa, który nam strasznie dziki trawowały. Podług zwyczaju zakurzyli fajeczkę i drżąc grzeli się u roznieconego ognia. Aż tu robi się hałas podobny do łamania suchych gałęzi i z lasu nie dzik,

nie śmiał nazwać tego głupstwem. Każdy wysłuchał, pomysł, pomruczał i zawsze nasza została góra.

„Niedawno nawet przechodziła tędy stara Cyganka i tłumaczyła nam, że wisielec pokutuje za odebranie sobie życia, które mu dał Pan Bóg, a Sas za to, że się nie kazał pochować na cmentarzu, ale tam kajś na wygonie. I to

paniczu póty się mają tłuc po świecie, aż ich zlużują dusze tych, co ołowianą trumnę z grobu Sasa wykradli i dach cynkowy z kaplicy Żydom sprzedali.“

Po takim zakończeniu rozstałem się ze starym gadałką i powiem szczerze, biegłem do domu jak strzala, bo wśród ciemnej nocy jakoś dziwnie przypadła do duszy ta jego długa gawęda.

Wszakże to spotkanie nie wyszło mi na złe, bo starałem się koniecznie porównać tradycją z prawdziwymi faktami, i jakoś to poszło niezgorzej.

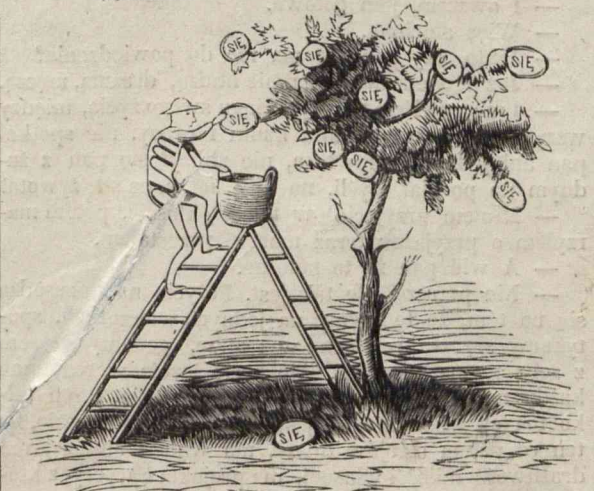
Rzeczywiście, dobra powyższe taką z rąk przechodziły koleją, jak mi ów górnik opowiadał; wypadek z powieszonym podobno także miał miejsce, a Ullmann, zapewne dla pokazania światu, jak zapalonym był górnikiem, kazał się w szybie kopalnianym pochować. Nadto wiem z pewnością, że trumna ołowiana, w której był pochowany, za jednego z ostatnich dziedziców gdzieś przepadła, dach zaś z kaplicy Żydzki do Chęcini wywiezli.

W obecnym czasie kaplica Ullmanna wygląda tak, jak ją rysunek przedstawia. Obdarta, odrapana, grób obok niej otworzony i ani jednej kosteczki ze zmarłego nie widać. Wewnątrz kaplicy również gołe ściany, chociaż o to niema kogo obwiniać, bo podobno nie była zupełnie wykończoną.

Na murach można dopatrzeć mnóstwo dat i podpisów, przez zwidzających to ustronie wrytych. Niektórzy z nich posiłkowali się mniej lub więcej niezgrabnymi wierszykami.... bo i gdzież dziś rymów nie piszą?...

Eugeniusz B.

REBUS.



Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 70.

Często w sądach człowieka kary i nagrody nie sięgają ludzi na zasadach sprawiedliwości.